

ALEKSANDRA KUNCE
Instytut Nauk o Kulturze
Uniwersytet Śląski w Katowicach

TO, CO UMARŁO. PO CO NA ŚLĄSKU CHODZI SIĘ DO UMARŁYCH PARKÓW?

Słowa kluczowe: park, cmentarz, Śląsk, dzikość, krajobraz

Upadła konstrukcja krajobrazowa jest niczym nekropolia. Pytania początkowe, z którymi staję w obliczu tego, co przestrzennie umarło, są następujące. Jedno pragmatyczne: Po co chodzimy do umarłych parków? Drugie również użyteczne, będące już specyfikacją: Po co na Śląsku chodzi się do umarłych parków? Trzecie zasadnicze: Jaka jest filozofia parku, który zmarł? Czwarte, pedagogiczne i egzystencjalne: Czego uczy umarły park i jak formuje nasze bycie?

Fazaniec graniczny

W połowie XIX wieku zasłużony dla Śląska hrabia Hans Ulrich Schaffgotsch¹ założył park prywatny. Fazaniec był parkiem granicznym. Został zlokalizowany na Górnym Śląsku „między” Szombierkami (wtedy Schomberg, od 1945 roku dzielnica Bytomia), Bobrkiem (Bytom) i Orzegowem (Orzegów/Orzegow, od 1959 roku dzielnica Rudy Śląskiej)². Był zlokalizowany w niemieckiej przestrzeni,

¹ Na temat rodu Schaffgotschów i ich związku z rozwojem Śląska zob. A. Kuzio-Podrucki, *Schaffgotschowowie. Zmienne losy śląskiej arystokracji*, Bytom 2007.

² Skomplikowane dzieje Śląska i zmienność granic, a także geografii śląską obrazują m.in.: H. Kraman, *Oberschlesien. Land der europäischen Mitte*, Dulmen/Westfalen 1981; P. Greiner, *Plany i wedyuty miast Górnego Śląska do końca XVIII wieku*, cz. I, Katowice 2000; K. Fuchs, *Schlesien Industrie: eine historische Skizze*, München 1968; *Górnoślązacy XX wieku*, red. i dobór fot. R. Budnik, S. Bieniasz, teksty S. Bieniasz, B. Szczech, Gliwice 1998.

Na temat Bytomia zob. m.in.: *Bytomskie zabytki*, red. J. Drabina, Bytom 2004; J. Drabina, Cz. Czerwiński, P. Nadolski, *Bytom na starych planach i pocztówkach*, Bytom-Katowice 1995; *Bytom powojenny 1945-2000 we wspomnieniach i na fotografii*, red. J. Drabina, Bytom 2002.

a w 1922 roku – po podziale przez Radę Ambasadorów tej części Śląska między Niemcy i Polskę – stał się parkiem, który leżał po stronie niemieckiej, ale graniczył z polskim Orzegowem. Nazwa Fazaniec pochodzi od niemieckiego słowa *Fasan* – bażant, gdyż park ten przyjął nazwę od bażanciarni, która funkcjonowała do 1928 roku. Taka lokalizacja parku wiązała się z faktem, że wokół neorenesansowego pałacu, projektu Fellerera, wzniesionego w Szombierkach przez Karola Godulę w latach 1841-1845, nie było miejsca na założenie bażanciarni i stworzenie dużego parku. Dlatego spadkobiercy majątku Karola Goduli – Joanna i Hans Ulrich Schaffgotsch, założyli go nieco dalej, w lasku. Pałac przetrwał II wojnę światową i został zburzony dopiero 2 lutego 1945 roku przez radzieckich żołnierzy, a na jego miejscu powstało jednokondygnacyjne przedszkole. Park, jako oddalony i nie dość reprezentatywny, a pewnie i nie dość ideologiczny, ocalał. Już wcześniej jednak przestał być przestrzenią prywatną, która radowała jedynie rodzinę Schaffgotschów i przeszedł w 1933 roku we władanie gminy, a zatem wspólnoty. Uformowano wtedy alejki spacerowe, postarano się o rozmieszczenie drewnianych wiat, stolików do gier w karty i szachy, placów zabaw dla dzieci, wtedy też ustawiono drewnianą altanę chroniącą przed deszczem³. Jeszcze przed I wojną w parku odbywały się festyny, ale wciąż była zachowana pewna dzikość parku: można było spotkać zające, kuropatwy, lisy, sarny, dziki i inną zwierzynę łowną.

Fazaniec był parkiem powołanym na krańcach świata, w oddaleniu od centrum miejskiego Beuthen/Bytomia, który miał swe nobliwe parki i kąpieliska, jak chociażby Park Miejski czy Ludowy. Za swe otoczenie Fazaniec miał osiedla robotnicze, kamienice mieszczańskie, kościoły, hutę i kopalnię, pałac neorenesansowy, ratusz, sklepy, poradnie, szkoły, ale wszystko to było w pewnym oddaleniu od parku. Fazaniec zawsze był przestrzennie oddalony od życia społecznego, trzeba było się natrudzić, by dojść do parku, zawsze był na granicy światów. Był na wprost dziki. Otoczony przez pola, zagajniki, skrawek lasu, osiedla, ze zwierzyną łowną, z bażantami, bujną roślinnością. Po 1922 roku stał się dosłownie parkiem zlokalizowanym przy granicy państwowej, granicy przecinającej porządku społeczne, gwałcącej przyzwyczajenia ludzi do wspólnej przestrzeni, złej granicy, bo kawałkującej terytorium Śląska. Każda dosłowność granicy jest zła. Po 1945 roku i umocowaniu Śląska w przestrzeni państwa polskiego park wciąż jest granicą, ale nie państwową. Jest parkiem na granicy, gdzieś daleko, na granicy tego, co niepewne. Dziś park, stanowiący 18,1 ha., graniczy od północy z ogródkami działkowymi, od wschodu z osiedlem mieszkaniowym w Szombierkach, a od południa i południowego zachodu z polami, stawami, polnymi drogami, zagajnikami. Granicząc z Rudą Śląską i Bytomiem, jest parkiem, który w świadomości mieszkańców wciąż jest oddalony, ulokowany gdzieś między polami, jest parkiem

³ J. Larisch, *Sto lat kościoła i parafii pw. Najświętszego Seca Pana Jezusa w Bytomiu Szombierkach (1905-2005)*, Opole 2005.

na granicy. Został pomyślany jako oddalony, peryferyjny. Był tak eksploatowany. W wyniku zdarzeń historycznych, zwłaszcza po wkroczeniu armii radzieckiej w styczniu 1945 roku i nastaniem „innej” organizacji mentalnej, zachowaniowej, architektonicznej, wspólnotowej i moralnej, stał się parkiem popadającym w ruinę. Zamarł. Był jednym z tych dokonań śląskich o niemieckim rodowodzie, o których należało programowo zapomnieć i nadać im bagatelizującą formę. Dewastowany, zapomniany, czasem groteskowo ożywiany, a to aktywizacją młodzieży szkolnej, a to konstrukcją basenu otwartego budowanego na obrzeżach parku, przestał znaczyć. Nie zmieniło to jednak jego charakteru, a może nie zniszczyło ducha parku. Fazaniec był parkiem oddalonym.

Jaka byłaby antropologia umarłego parku?

Poza reprezentacją, poza nostalgią. Dzikość parku

Parki są planowe, kryje się za nimi zamysł, by oswoić krajobraz, przyciąć go, uspokoić, stworzyć bezpiecznym, często nadmiernie. Wtedy park staje się karykaturalnym obrazem lęku człowieka przed naturą. Staje się dziwnym lękiem zlokalizowanym w mieście. Wtedy też dokumentuje pychę ludzką skłoną wierzyć, że naturę da się ukształtować z formowanych liści, wyselekcjonowanych krzewów, czystych drózek, umiarkowanej wysokości pędów, harmonii kolorów, uśrednionej odległości między drzewami, gęstości zieleni – nie doskwierającej spacerowiczom etc.

Dobrze się dzieje, że nie wszystkie parki są kunsztownie zaplanowane i nazbyt higienicznie utrzymywane dzień po dniu. Myślę, że to, co jest złe dla ludzi, często dobrze robi parkom. Granice polityczne, zwłaszcza gwałtownie wdzierające się w ludzkie losy, są zbawienne dla parków. O ile ich nie dewastują, bo destrukcja nikomu nie robi przysługi w tym wypadku, to granice państwowe poniekąd przywracają naturze te nazbyt przystrzyżone parki, gdyż na moment wprowadzają zapomnienie o nich, bagatelizację stylizowanych pomysłów ludzkich, na korzyść spraw Historii. „Ważniejsze” sprawy wojen, rozejmów, podziałów łupów, migracji, propagandy bagatelizują nieideologiczny park, który nie rodzi szans na stanie się symbolem patriotycznym. Fazaniec nie figurował w wyobraźni jako miejsce przechadzek, które może podlegać praktykom mitologizacji politycznych. Park na uboczu, park zapomniany, park niczym nekropolia – to zbawienny efekt Historii.

Tak jest z Fazańcem. Był usytuowany na niepewnej granicy. Wciąż nie jest w centrum zdarzeń, ale i nigdy nie będzie miejscem przypudrowanego świata i blichtru, bo to park, który nie błyszczy. Nie otacza go metropolia, aczkolwiek Bytom (Beuthen in Oberschlesien / Bitom / Bithomia / Bethania) ma swą długą wielkomięjską tradycję od 1254 roku. Park jest dziki, szorstki, niestylizowany na angielską modłę nostalgii, kompletnie niesentymentalny, oddalony od wszystkiego

i każdego. Jest dziś przywrócony przyrodzie, z której go wydarto. Wciąż tu można spotkać bażanty, sarny, dziki, zmije, zające. Szczególnie to miejsce upodobało sobie ptactwo ze względu na ciszę parku, jego oddalenie od hałasu miasta, jego leśny i zapuszczony charakter.

Z ducha zwierzyńców, bez „wydziwiania”, gwałtowne zderzenie

Park jest spadkobiercą zwierzyńców, a zatem tych specyficznych ogrodów, które były odgrodzonym, a przynajmniej jako wytyczonym terenem łowieckim lub terenem hodowli zwierząt. Istniała w nich pewna adaptacja krajobrazu, ale stosunkowo oszczędna, zachowująca „naturalność”. Czy Fazaniec ma w sobie posmak zwierzyńców z jeleniami, łosiami, sarnami, żubrami, trzymanymi w pobliżu zamków, na obrzeżach miast? Tamte zwierzyńce też miały altanę dla odpoczynku, ścieżki wyraźnie wytyczone i przydatne do obserwacji zwierzyny. Jest pewna wspólnota w podjęciu natury, która ma być bezpiecznie oswojona, ale jednak utrzymywana w naturalności, i to w naszej okolicy. W pobliżu zamków jest polowanie, krew, dzikość. Czy Fazaniec ma w sobie także dziwność i ducha ekspozycji menażerii, które miały zaskakiwać oryginalnymi, bo niespotykanymi w tej przestrzeni lampartami czy lwami? Fazaniec nie miał tej dziwności, miał bażanty i zwierzynę łowną, która związana była od zawsze ze Śląskiem. Był w bliskości pałacu. Nie był jednak z ducha „wydziwiania”. Posmak zwierzyńca, który łączył staw, zwierzęta, ścieżki, altany, pawilony, zachował. Nigdy jednak nie był kunsztownym i stylizowanym ułożeniem natury z wyspą z królikami czy egzotyką lwów trzymanych w klatkach i woliarach.

Fazaniec jest bowiem miejskim parkiem, został tak pomyślany, nawet jeśli zachował w sobie dzikość. Ma w sobie swobodę ogromnego ogrodu z alejami spacerowymi, ale i zwierzyną łowną. Pamięć dawnych zwierzyńców jest też pamięcią późniejszych ogrodów ozdobnych, pamięcią rozmachu barokowej myśli. Ale Fazaniec jest jej przekroczeniem. Ma smak XVIII-wiecznej sztuki ogrodowej w stylu angielskim, gdzie stawy, mostki, stylizowane ruiny, bujna roślinność, tajemnica i gotycki klimat wydobywają „naturalność”⁴. A taka stylizowana dzikość rodzi doznanie niesamowitego i zadziwia rozmachem, wszak strome skały, jaskinie, wodospady i grotty przewyższają naśladowcze praktyki z książęcych ogrodów, jak wskazywał Anthony Ashley Cooper, Lord Shaftesbury⁵. I chociaż Fazaniec wyrasta z podobnego wydobywania naturalnych walorów wzniesień i ukształtowania terenu, to jednak nie przechowuje sentymentalnego i „malow-

⁴ P. Hobhouse, *Historia ogrodów*, przeł. B. Mierzejewska, E. Romkowska, Warszawa 2005; L. Majdecki, *Historia ogrodów*, Warszawa 2007, t. 1-2.

⁵ A.A.C. Shaftesbury, *List o entuzjazmie. Moralisci*, przeł. A. Grzeliński, Toruń 2007.

niczego” charakteru chociażby Prior Park Landscape Garden, zaprojektowanego przez poetę Alexandra Pope’a oraz ogrodnika Capability’ego Browna. Fazaniec nie ma sztukmistrzowskich kaskad i gotyckich świątyń. Jest dziki i miejski prawdziwie, a dzikość z czego innego jest wydobyta. Fazaniec przechowuje pamięć urbanizacyjnej myśli, która wytyczała park pośród skupisk miejskich, industrialnych punktów w przestrzeni.

Czy Fazaniec mieści w sobie doświadczenie spacerowiczów paradujących w dopasowanym i skrojonym dla nich naturalnym *entourage*’u? Fazaniec jest za dziki na stylizowane ogrody i parady spacerowiczów. Nie ma w sobie nic z ducha *flâneura*, co nie znaczy, że nie jest z ducha miejskiego. Jest śląski w gwałtownym zderzeniu miasta, fabryki, lasu, zadrzewionych skwerów, stawów, rzek. To zderzenie gwałtownej przestrzeni, bujnej roślinności, z architekturą hołubiącą rosłe kamienice, czerwoną cegłą osiedli robotniczych, reprezentacyjne gmachy secesyjne, neogotyckie i modernistyczne, rosłe kominy, szyby, wystawne place miejskie. Fazaniec wyrasta z tego zderzenia i punktowego konceptu przestrzennego.

Bez porażającej struktury, wilgoć, mrok, niepokój, nie-dość park

Fazaniec, jako umarły park na granicy i na uboczu historii, nie ma dziś porażającej struktury, nie ma wyraźnych granic, nie kończy się i nie zaczyna, nie ma ogrodzenia, swobodnie przechodzi w pola, osiedla, ale jest przestrzenią między miastami. Nie możemy precyzyjnie określić, w którym miejscu przekraczamy granicę parku i zostawiamy za sobą teren nie-parkowy, ale wiemy, że w końcu nagle się w nim znajdujemy, wiemy też, że go już opuściliśmy. Deleuze i Guattari pisali, że dla filozofii ważne jest „obejmowanie” przez to, co jest nie-filozofią, podobnie ze sztuką i nauką⁶. Tak też jest z parkiem. W Fazańcu to, co jest nie-parkiem, daje siłę przestrzeni parkowej. Fazaniec ma zróżnicowane ukształtowanie terenu. Tworzą go dwa wąwozy, które mają się układać w kształt litery V. Na dnie wąwozów płyną strumienie, które następnie wpadają do stawu. Staw to obszar najbliższy parkowi, jako to, co przed parkiem lub za parkiem, co może być wstępem do parku, a może jego wykończeniem, kiedy przechodzi się łagodnie z przestrzeni parkowej w miejską, znaczoną budynkami mieszkalnymi. Wąwozy porośnięte są drzewami, krzewami, od stawu oddzielone laskiem i rozległą łąką. Drzewa to dęby, klony zwyczajne, jawory, lipy, jesiony wyniosłe i graby, olchy czarne, robinie akacjowe, buki, topole.

Dwa wysokie wąwozy, niezgeometryzowana roślinność, strumienie – sprawiają, że park jest ciemny, nie jest spacerowym traktem, raczej jest miejscem

⁶ G. Deleuze, F. Guattari, *Co to jest filozofia?*, przeł. P. Pieniążek, Gdańsk 2000, s. 241-242.

mrocznym, dzikim, porośniętym gęsto krzewami, a w wielu miejscach i zarośniętym, gdzie widać ślady pewnego porządkowania, ale nie dość skutecznego, np. karczowania, czyszczenia traktów, zbierania zeschniętych liści, mocowania brzegów strumienia czy zakładania budek lęgowych dla ptaków, ale to i tak raczej dziwne miejsce. To doświadczenie potęgowane jest przez niewielką ilość ławek, nie dość zagospodarowany plac zabaw, liczne zakamarki, zbrocza wąwozów do zjazdów rowerowych i saneczkarskich, nieformalne trasy dla biegaczy i rowerzystów, świetne przestrzenie dla psów-biegaczy, mnóstwo miejsc trudnych do przejścia dla ludzi, będących schronieniem dla dzika, zająca czy lisa. Park, a właściwie ten nie-dość park, jest ulokowany na granicy naszego porządkowania natury, tu nie udokumentowano jej poddaństwa. Jest tu dużo wilgoci, dużo mroku i sporo niepokoju, dużo komarów. Klimat okolicznych pól, lasów, kopalni, architektury miejskiego Śląska, architektury pałaców arystokratycznego Śląska, architektury ludowej Śląska chłopskiego – to wszystko przeniknęło do tej niewyrazistej przestrzeni, która nigdy nie będzie spacerowa. Mroku dodają okoliczne pola, stawy, zalesienie, ale i urbanizacyjne trakty kopalni i hut, i dalej – gmachy bytomskich budowli opery, teatru, więzienia, magistratu, rynków, kościołów, bunkrów polskich, budynków granicznych, wiaduktów trakcji kolejowej i tramwajowej w niewielkiej oddali.

Człowiek podatny na upadek. Afekty społeczne i afekty natury

To miejsce nie jest wyczyszczone, nie jest enklawą. Nie koi po dniu pełnym zgiełku, od niczego nas nie uwalnia. Jest dokumentacją dobrego bycia na uboczu, które nosi ślady starcia z naturą, ślady rozpaczliwego dopasowania pracy i przemysłu do ziemi, ślady zderzenia z historią jako gwałtem zafundowanym przez dozorców publicznego porządku, ślady kruchych podziałów etnicznych w obrębie rodziny, ślady niepewnych kryteriów przynależności, ślady niepewnego rozdziału tego, co cywilizacyjne i miejskie od tego, co leśne, polne, niezagospodarowane. To miejsce jest między sprzecznymi doświadczeniami człowieka. Z jednej strony – rozwijamy pragnienie, by rzeczy ułożyć i kontrolować przestrzeń, by schronić się przed historią. Z drugiej strony – doświadczamy nagłości wtargnięcia w nasze życie wszelkich „afektów” społecznych: etosu, historii, ideologii, mitologii miejsca, piętna kulturowego; i „afektów” natury: nieobliczalnego, nie dość zrozumiałego, tego, co się nam wymyka, nie daje zwymiarować, co zawsze dotyka nas jako kataklizm, katastrofa, nieprzyjazny teren.

Człowiek podatny na upadek jest na Śląsku człowiekiem podatnym na afekty, jest targany namiętnościami do tego stopnia, a może do tej granicy, że obojętnieje i pokornieje względem Natury, Historii, Etnosu, Boga. Z afektami nie można

walczyć. Można co najwyżej mobilizować siły, by utrzymywać się w ich bliskości. To jak bycie na rozpaczliwej granicy, gdzie dzikość, rozum, pokora, konieczność, wreszcie spokój nie układają się w pocieszającą historię, a jedynie uczą bycia na granicy w sensie dosłownym. Dziwna Rozpacz i Radość są obecne w tym nie dość uformowanym parku Fazańcu.

Przekroczenie historii, pragnienie natury, pokora, dzikość, Śląsk

Park jest ubocznym produktem historii. Jest też jej pokonaniem. Przekroczyć historię znaczy nie wierzyć w istnienie neutralnego ciągu faktów i uznać, tropem Nietzschego, siłę *facta ficta*. Jesteśmy tymi, którzy konstruują obrazy historii, którzy jej doświadczają. Ale to też i inny trop – przekroczenie historii wiąże się z porzuceniem jarzma czasu, jako linii, której podlegamy i której podporządkujemy wykładnie nas samych, naszych wspólnot i naszych przestrzeni. Emil Cioran pisał, że „historia to coś, co trzeba przekroczyć”⁷. I dalej dodawał, że dokonać tego można w momencie, gdy „przeszłość, terażniejszość i przyszłość nie mają już dla ciebie żadnego znaczenia, gdy jest ci obojętne, kiedy i gdzie żyjesz”⁸. Zatem to „nie człowiek i historia, ale człowiek i wieczność”⁹ staje się istotną relacją w świecie. Horyzont myśli Ciorana zamykał się w doznaniu świata jako szczytów rozpaczy, gdzie witalność rodziła się w świecie, który zdaniem myśliciela nie zasługiwał na to, by na nim oddychać.

Na Śląsku aż do takiego wybuchu rozpaczy nie dochodzi. Śląsk jest utkany z dzikości, ale i Oświecenia, z maszyny i natury. Wspólnota myśli, którą można próbować znaleźć, spoczywa w tym doświadczeniu upadku wiedzy historycznej. To myśl, że nawet pokonanie Historii nie rodzi ukojenia. Ciągłe balansujemy na granicy tego przewyciężenia. Nietzsche powiedziałby, że utrzymujemy się w walce, gdy nie przekraczamy wiedzy i doświadczenia, ale wytrzymujemy ciśnienie zmagają. Na Śląsku jest się w bliskości tego ciśnienia, które trzeba wytrzymać.

Myśl ta ogarnia sobą zachwyty tym, co nie-historyczne, a dalej tym, co nie-humanistyczne. Cioran pisał, że ci, którzy poznali „co znaczy być człowiekiem, chcieliby się stać czymkolwiek – byle nie człowiekiem”¹⁰. Marzenie Ciorana, aby codziennie zaznawać bytu natury – „kwiatów, chwastów, cierni, róży, podzwrotnikowego drzewa, alg morskiej miotanej falami albo chłostanej wiekami rośliny górskiej”, aby być „śpiewającym melodyjnie ptakiem albo ptakiem kraczącym

⁷ E. Cioran, *Na szczytach rozpaczy*, przeł. I. Kania, Warszawa 2007, s. 139.

⁸ Ibidem, s. 140.

⁹ Ibidem.

¹⁰ Ibidem, s. 144.

i drapieżnym, wędrownym lub osiadłym”, aby stać się „zwierzęciem dzikim bądź domowym”¹¹ – jest też marzeniem śląskim.

Śląski komparatysta Zbigniew Kadłubek pisał, że marzy mu się śląski megatraktat, utkany z „czystej materji egzystyncji”, w którym byłoby sporo

o zapachach zioł, barwach (na pewno coś o semiheterogenicznych sensybilizatorach na pochodnych czerwjyni byngalskiej!), o drzewach (koniecznie sekwoje!), o chmorach na niybje, o morskich wyndrowkach kryła,

a także

o kwiotkach, o łopianie ulubionym od pszczołow, co mo podobne do oseu koszyczki i wjyszgo się do łachow, jak się idzie bez łonka; o troje, pychu, podagryczniku (na kery to chwast blank niestosownie godo się u nos „wanieliczka”, obrożajonc tym samym niyummyśnie ewangelików augsburskich),

dalej o

wajskach (*Leucasapius delineatus*), małych rybkach, kere żech chytoł w dzieciństwie na wiosna w strumykach, pidlach i żabjokach i kere po polsku nazywają się „słonecznice”, [...] o szmaragdach, ametystach, agatach, azurytach¹².

Traktat ten, jak pisze autor, miałby charakter „tyologiczno-fizjologiczno-oniryczny” i „miałby [...] potencja pradiwiyj metamorfozy w życie”¹³.

Zurbanizowana i industrialna przestrzeń Śląska, która napawała się własną oświeceniową konstrukcją, zawsze była podskórną apoteozą natury. Umarły park, Fazaniec, to właśnie odsłania. Dzikość parku – dzikość Śląska – dzikość człowieka, to trakt budowany w przestrzeni rozumu. Rodzi doświadczenie pulsowania rytmu świata nie obok nas, ale w nas samych. Jednak doznanie tego może mieć miejsce tylko wówczas, gdy przebywamy w wyrazistej przestrzeni, tak wyrazistej jak umarły park. Trzeba w sobie przetrwać doznanie Śląska jako fatalistycznego, mistycznego, mieszczańskiego, industrialnego, aby zrozumieć siłę natury, z którą obcuje się na Śląsku.

Natura jako ziemia – we wnętrze której się zagląda, w którą się wstępuje, którą się wydobywa na wierzch, której bogactwem się ogrzewa domy, oświetla pomieszczenia i ulice, napędza maszynierię śląską. Natura jako spoglądanie w niebo – w niebieski kontrapunkt dla ziemi i dla domów, hut, kopalń, jako spojrzenie w to, co boskie, co jest obok ziemi, co towarzyszy ludziom. Natura jako powietrze – które pozwala oddychać, które trzeba z troską oczyszczać, które należy sobie cenić, gdyż go brakuje. Natura jako woda – która przecina przestrzeń,

¹¹ Ibidem, s. 144-145.

¹² Z. Kadłubek, *Listy z Rzymu*, Katowice 2008, s. 47-48.

¹³ Ibidem, s. 49.

tworzy naturalne granice miejsc, która zbawia industrialny świat. Natura jako zieleni lasów, pól, parków, skwerów, zagajników – która Śląsk uprzestrzenia i czyni go tajemniczym, która jest najbliższą okolicą fabryk. W parku dopada nas nieuchronność Śląska w jego ułożeniu względem natury i wieczności.

Przeżycie, płodne doświadczenie. Kultura to bardzo mało

Park, który jest nie dość sentymentalny, który nie stanowi reprezentacyjnej *Paradenstrasse*, nie pozwala na smakowanie przeżyć. Jest raczej nagłym, intensywnym przeżyciem, gdyż w parku tym poraża nas nieharmonijność traktów, brak wytchnienia w łatwo uchwytnym kształcie alejek, brak ukojenia wypielegnowanymi traktami, zatarcie granic przestrzeni parkowych i nieparkowych, nieprzejrzystość kierunków, niełatwo uchwytna (nie)celowość założeń architektonicznych. Park nie jest przestrzenią, która harmonijnie pozwala ułożyć chaotyczny proces doświadczania. A jednak ten park to wzrost duchowy. W tym sensie park jest płodnym doświadczeniem. Emil Cioran pisał, iż bywa tak, że „przeżycia stapiają się w płodny płomień, a w wyniku niego rodzi się doznanie skomplikowanej obecności treści duchowych”¹⁴. I tak czytam ten park, jako skomplikowaną treść duchową, która jest obecnością.

Jednak park ten nie kusił nadmiarem życia. Wyznaczał napięcie, które raczej powściąga nadmiar, ekstazy, ekstatyczność działań, a przywołuje nasze wycofanie z życia nazbyt społecznego. Powoływał nieoczywisty rytm zdarzeń, przekonywał do chaosu historii, która na pewno nie staje się linią następstwa faktów i ich konsekwencji, uzmysławiał grozę samotności, budził przerażenie obsesjami hordy społecznej, która chce jednoznacznie i w pełni ideologicznie przynależać do czegoś tłumnego, co posiada nadmierną więź i mechanizmy kontroli. Naprowadzał wreszcie na niepewność zaufania do kultury, bowiem doznanie jej obecności jest jednocześnie doznaniem końca kultury, doświadczeniem faktu, że człowiek jest porzucony przez kulturę. Jest poza kulturą. Bolesne to odkrycie, że kultura to bardzo mało.

Porzucony, nie dość udrapowany w kształcie, park to tamowanie energii kulturowej. Otwiera się na nową wzbierającą energię, która nie płynie z kultury, a która wybrzmiewa nieznanym rytmem, gdzie pulsuje to, co osobne, kruche, niesystemowe, wymykające się wzorcom zachowań. Apoteoza kruchości i wiara w osobność nie staje się bowiem kluczem, który uspokaja niepewność naszej wiedzy, nie może być nową bezpieczną legitymizacją. Osłabia ją, ale nie usypia.

Życie peryferyjne, bycie w zapomnianym parku, zlokalizowanie siebie w bliskości parku – wybory te nie prowadzą do wyzwolenia liryczności. Liryczność,

¹⁴ E. Cioran, *Na szczytach rozpaczy...*, s. 6.

jako nader rozumiała i łatwa, byłaby miernym doświadczeniem. Tak jednak nie jest. Park umarły bowiem powoduje rozpad dawnego przeżycia.

„Poza kulturą” to ostra wymowa umarłego parku. Niepokojąca jest jego chropowatość, nieuładzone kształty, brak dosłowności, niepokój wiedzy o relacjach między jednostką a wspólnotą i hordą, nieoczywistość dopasowania krajobrazu i człowieka, nieprzyleganie słów do rzeczy i doświadczeń bycia. Park wyprowadzając nas poza kulturę, wyprowadza ku temu, co jest inne, nie dość cywilizowane, dzikie i od zawsze barbarzyńskie. Stapia byciem Rzymianinem, Europejczykiem, Ślązakiem z byciem barbarzyńcą, innym, oprawcą, ofiarą, niedookreślonym i nie-nazwanym tożsamościowo, wreszcie – każdym, nikiem. Śląsk celebrując wymowę *Jedermana*, czerpie siłę z tego powtórzenia. Czy każdy opuszczony, umarły park – który należy przebiegać, przez który trzeba przechodzić szybko i wolno jednocześnie, jakby mimochodem, na swój sposób, wchodząc we własne relacje z nie dość uformowanymi ścieżkami i porządkami wiedzy, wydeptując własne formy przeżycia – nie jest nauką?

Wartość umarłego parku bierze się stąd, że jest na powrót barbarzyński, a siłę powrotu trzeba rozumieć Nietzscheańsko, jako przywołanie czegoś nowego, jako akt kreacji w chwili i w wieczności. Uzmysławia, że głęboka przestrzeń kultury to taka, który uczy, że nie jest ostateczna i nie jest jedynym zadomowieniem człowieka. Staje się każda, niczyja. Dobra przestrzeń jest zawsze nie dość znana i oswojona, staje się barbarzyńska, bo przemawia do nas belkotem, a nie w dość zrozumiałym języku. Trzeba pamiętać o złączeniu tego, co barbarzyńskie z tym, co szczerze i gwałtowne. Jak pisał Cioran, „barbarzyński” to taki, który „jest tylko krwią, szczerością i płomieniem”¹⁵. Park jest szczerzy, gdyż ukazuje bezlitośnie efekt starcia i przedziwnej komitywy człowieka z naturą, demaskuje wątlą postać wiedzy o ujarzmianiu natury, czynieniu jej sobie poddaną, ale też wskazuje na uludę ekologicznej harmonii, w ostatecznym rozrachunku poskramia społeczne zapędy człowieka. Bycie krwią i płomieniem pokazuje gwałtowność doświadczeń i poskromienie siebie jako konstruktora, twórcy, władcy, organizatora, ale i brata/siostry Natury.

Przemierzając park, ostatecznie przemierzamy go ze śmiercią kultury w tle, z naszą śmiercią jako zapowiedzianą, śmiercią tych wszystkich, co przed i po nas, z tym, co zostało powołane kulturowym wysiłkiem i co przeminie, ale i tym, co we fragmencie zostanie. Park to dziwna komitywa. Jest spoufaleniem bez możliwości wysłowienia tej wzajemności. W gładkich słowach nie da się prosto opowiedzieć przynależności do siebie nawzajem, ale i nie da się nazwać łączącego nas nieprzynależenia do siebie. To dziwna komitywa – bez równości, bez obietnicy, bez przyległości. To nie jest trakt sprawiedliwego rozdziału dóbr. Bardzo wątpliwe jest też braterstwo/siostrzeństwo z przestrzenią, bo pełne niedopowiedzeń, oczekiwania, ale i braku nadziei na wspólnotę. Park jest nauką. Wszystko, co jest

¹⁵ Ibidem, s. 10.

formą, ją utraci, każdy kształt jest zapowiedzią bezkształtu, każda struktura jest amorficzna i pochłonięta będzie przez wir dynamiki chaosu. Zamęt przestrzeni eksploduje pędem życia. Park tego uczy, a jednocześnie każe zachować stoicki spokój w obliczu ruchu natury. Po tę naukę chodzimy do umarłych parków.

Silesia ex machina – Silesia ex natura. Szaleństwo, zdziwienie

Park nie rodzi znużenia. Nie można się nudzić tam, gdzie jest bujna roślinność i jeszcze większa niepewność, gdzie są bażanty, dziki, zakamarki, gdyż przemierzając park utrzymujemy się nieustannie w witalnym napięciu. Park podsuwa nam życie jako Problem. Nie jest wdzięcznym krajobrazem. Nie jest melancholijnym smutkiem. Park ten był wysiłkiem konstrukcyjnym. Jako park, który był wysiłkiem, sam wymaga od nas wysiłku, aby go podjąć. Jest ukryty, jest upadkiem, jest zderzeniem Natury i Kultury, jest naprowadzeniem na doświadczenie własnej egzystencji. Rodzi pytania. Czy jest coś takiego jak zdziwienie czystym istnieniem? Czy można zredukować myśl do samych korzeni istnienia? Czy można ostatecznie zedrzyć powierzchniowe zasłony kultury i wiedzy?

Fazaniec nie prowadzi nas do przeżywania całkowicie zredukowanego istnienia, nie pozwala na upajanie się esencjonalnymi elementami bycia, co najwyżej, a to i tak dużo, pozwala na dotarcie do podstawowego wymiaru zdziwienia nad kulturą i naturą w nas samych, do zdziwienia nad ruchem, który zwiastuje upadek. W bliskości tej wiedzy rodzi się zdziwienie. W tym parku, w którym nie ma znużenia, spacerowicza i melancholii, coś jest: szaleństwo. Płynie ono z najgłębszej niepewności, dziwnej wizji nas samych i przestrzeni, która nas otacza, która zadomowiana jest przez niepojęte. Niepojęte są: bażanty, Śląsk, urbanizacyjne założenie, pustka w parku, wojny niemieckie, sowieckie, polskie, pruskie, czeskie, które kształtowały tę przestrzeń, wieczna i zmienna natura, konieczność i przypadek wiążący losy jednostkowe ze zbiorowymi ideologiami i przestrzeniami złóż naturalnych, parków, pól, lasów, traktów handlowych, centrów klasztornych i dworskich etc. *Silesia ex machina* i *Silesia ex natura* nakładają się na siebie. W bliskości tej wiedzy, którą przywołuje umarły park, oczyszczamy się.

„Korzenie metafizyki są równie pogmatwane jak korzenie egzystencji”, pisał Cioran. Metafizyka parku, która miałaby wydobyć korzenie, staje się zadziwiającym odkryciem, że zarówno korzeni naturalnych, korzeni kulturowych, korzeni mistycznych, jakichkolwiek korzeni, nie powinniśmy chcieć pojąć. W parku pęka nasza wiedza o tym, co fundamentalne. Zadziwia nas park w tym, że nas wykorzenia. Dziwi jednak i to, że wykorzenie nie prowadzi do rozpacz. Przemierzać dzikie parki to jak utrzymywać się w bliskości wielkich sprzeczności, niezrozumiałych antynomii, niebezpieczeństwa bujnego życia duchowego, które gwałci nasz rozdział na to, co było, co jest i co będzie, co łączy osobnicze ze wspólnotowym.

Niegdyś w *Historii wieczności* Jorge Luis Borges opisał zdarzenie – wieczór spędzony w Barracas:

Samo miejsce, gdzie nie zwykłem przebywać – i odległość dzieląca je od innych, które potem przemierzyłem, już nadały temu dniu dziwny posmak. [...] Zdecydowałem się na to, co się nazywa wałęsaniem, zdając się na traf; przyjąłem, bez innego świadomego założenia, że omijając będę szerokie aleje lub ulice, najmroczniejsze zaproszenia przypadku. [...] Odwrotnością tego, co znane, jego drugą stroną, są dla mnie peryferyjne ulice, w istocie całkowicie nieznane, jak podziemne fundamenty naszego domu lub nasz niewidoczny szkielet. Zatrzymałem się na jednym ze skrzyżowań. [...] Obraz niewymownego ubóstwa i niewymownej urody: żaden dom nie ożywiał ulicy; figowce ciemniały na tle faset; bramy – górujące nad smukłymi liniami murów – zdawały się wykute z tej samej nieskończonej materii nocy. [...] Z przekonaniem powiedziałem do siebie: tak samo było trzydzieści lat temu... [...] Poczuliem się martwy, poczułem się abstrakcyjnym obserwatorem świata; jakiś nieokreślony, wpojony przez naukę lęk, który jest największą jasnością w metafizyce. Nie, nie wierzyłem, że cofnąłem się przez domniemane wody Czasu; raczej miałem wrażenie, że posiadałem milczący czy też nieobecny sens niepojętego słowa *wieczność*¹⁶.

To ważny fragment apologii wieczności Borgesa, bo świat potrzebuje tego, co trwa i co się wiecznie powtarza. Ale waga tego fragmentu nie płynie tylko z uznania wiecznego powrotu Nietzschego czy wcześniej z pochwały wieczności Marka Aureliusza, a jeszcze wcześniej z uznania chociażby Plotyna, że nic nie przemija w świecie, bo wszystkie rzeczy trwają niezmiennie. To jednak przede wszystkim doświadczenie własnej pojedynczości w tym, co jest wiecznym doświadczeniem świata. To udział tego, co jednostkowe w tym, co gatunkowe, ogólne etc. Jestem w każdym ludzkim losie, bez podziału na przeszłość, terażniejszość i przyszłość. Jestem w absolutnej terażniejszości, która komasuje wszystko. To rodzi zdziwienie i nie daje się zamknąć w klasyfikacji mistycznego doświadczenia. Rację ma Marek Aureliusz, pisząc w rozmyślaniach, że „kto widział terażniejszość, widział wszystko, od wieczności do wieczności”¹⁷.

Podobny wątek odnajduję u Fernanda Pessoa, który w *Księdze niepokoju Bernarda Soaresa, pomocnika księgowego w Lizbonie* pisze:

Zawsze będę z Rua Dos Douradores, tak jak cała ludzkość. Zawsze będę – wierszem lub prozą – biurowym urzędnikiem. Zawsze będę, z mistycyzmem lub bez, lokalny i podwładny, sługa własnych odczuć i chwil, w których mnie nachodzą. Zawsze będę, pod wielkim, niebieskim baldachimem niemego nieba, paziem spełniającym niezrozumiały rytuał, ubranym na tę okazję w życie, przedstawiającym, nie wiedząc po co, gesty i kroki, pozycje i zachowania tak długo, aż skończy się uroczystość – albo moja w niej rola – i będę mógł najęść się świętecznych przysmaków w wielkich namiotach, stojących podobno na końcu ogrodu¹⁸.

¹⁶ J.L. Borges, *Historia wieczności*, przeł. A. Elbanowski, Warszawa 1995, s. 33-35.

¹⁷ Marek Aureliusz, *Rozmyślania*, przeł. M. Reiter, Warszawa 1997, ks. VI: 37, s. 67.

¹⁸ F. Pessoa, *Księga niepokoju Bernarda Soaresa, pomocnika księgowego w Lizbonie*, przeł. M. Lipszyc, Warszawa 2007, s. 141.

Ten wątek *Jedermana*, który tu powraca, łączy konieczność, przemijanie i cykl zdarzeń, ale i dopuszcza uznanie lokalnego. Warto zapamiętać, jak pisze Pessoa, że zawsze będę „lokalny i podwładny”. Jednak zależy mi na tym, aby to przesunąć w myśleniu. Idzie nie tylko o to, jak pisze myśliciel, że jestem sługą odczuć, lecz także o fakt, że jestem sługą lokalności, bo przynależę do bliskiej przestrzeni, to ona mną włada. I to jest dla mnie ważne. Dopowiedzenia wymaga jeszcze jedna rzecz: być sługą przestrzeni znaczy przyjąć na siebie los tych, którzy nas poprzedzali i przyjdą po nas. A może doświadczenie *Jedermana* jest w stanie nas dotknąć tylko w lokalności?

Dlatego w każdym momencie przemierzam umarły park Fazaniec jako Każdy: jako hrabia Schaffgotsch, dziwiący się antynomiami rozumnego i dzikiego Śląska; jako jego żona Joanna, z domu Gryzik, spadkobierczyni ogromnej fortuny Karola Goduli, która chyba dobrze wiedziała, jak fortunne mogą być splątane losy śląskie; jako liczni mieszczanie, a to urzędnicy, a to zegarmistrze, a to sklepikarze, a to lekarze, a to inżynierowie, którzy tę przestrzeń przechodzili, dziwiąc się pewnie, jak dużo swobody pozostawiono naturze w ułożeniu alejek parkowych na oświeceniowym Śląsku; jako górnicy i hutnicy przychodzący tu z rodzinami, by doświadczyć, jak blisko ich domostw i miejsc pracy może istnieć taki naturalny park, jak prosto można rozciąć rytm pracy wizytą w parku; jako dzieci, których wyobraźnia musiała pomniejszyć się, by dopasować się do jedynie nieco dzikiej przestrzeni parku. Przemierzam park jako pruski żołnierz, pruski mieszczanin, powstaniec śląski, polski i niemiecki specjalista od propagandy narodowej, ale ci rzadko chodzili do parku, bo byli niewolnikami czasu i doraźnej historii; jako polski, niemiecki, śląski sąsiad; jako radziecki żołnierz, obco czujący się w cywilizacyjnej i zniechęconej przestrzeni, którą trzeba zniszczyć; jako przybysz ze wschodnich ziem Polski Kresowej; jako przybysze z różnych stron Polski, których rzucił tu los, ale i wola współtworzenia planów migracyjnych i ideologicznych socjalistycznego kraju, w którym przierzucana po całym terytorium ludność miała wypełniać plan nowego zakorzenienia. Przemierzam ten park jako starzyk i starka, jako baron i hrabia, jako pianista i policjant, jako matka, ojciec, jako wdowa, jako sierota, jako Oma i Opa, jako Tante Agnes, jako działkowiec, jako rowerzysta, biegacz, jako właściciel psa.

Przemierzając park w upadku powtarzam pytanie Villona: „gdzie się podzieli ci wszyscy, którzy kiedyś napełniali świat swoim przepychem?”. Dodaję, którzy rujnowali świat swoim dziełem, którzy go zobojętniali, którzy przechodzili obok, którzy go wzmacniali swą aktywnością i biernym patrzeniem. Park, który dziwi, musi też napełniać grozą. Nie jest to stylizowana groza. Zachwyca i zadziwia barbarzyństwem. Poraża spontanicznym rozrostem natury. Przywołuje doświadczenia pulsowania życia. Jest brakiem wytechnienia po dniu miejskiego zapracowania. Jest upadkiem obietnicy dobrego ułożenia relacji sił społecznych i naturalnych. Przenicowuje to, co obecne, z tym, co niewidzialne, przeszłe, niewyraźne. Obcuje

z tym, co historyczne, wieczne, poza poznaniem. Przywołuje niełatwą wiedzę.

Zadziwia nas ten park, bo pokazuje, że nie potrzebujemy nazbyt wykończonych przestrzeni, nazbyt rozbuchanych porządków wiedzy, nawet systemowo narosłej. Uzmysławia coś oczywistego, a przez to zatrważającego: że w tak prosto okolicznym świecie istniejemy, który jest skupiony na tym, co najmniejsze i jest zapowiedzią końca wiary w trwanie rzeczy. Zadziwia, jak chętnie przybywamy w bliskości umarłego parku, co nie ma tylko posmaku romantycznego snucia się po ruinach gotyckiego świata i takiej stylizowanej wyobraźni. Przebywać w bliskości parku to przyglądać się niepewnie (bo to wiedza nieskatologowana, niewygodna w użyciu i przeglądaniu) dowodom własnego upadku, upadku cywilizacji, upadku parków, upadku założeń architektonicznych, upadku słowników, upadku złudnych narracji tożsamościowych. W bliskości umarłego parku na moment wpisujemy się myśleniem w dynamicznie pojęte życie, sprzęgamy swe doświadczenie z tym nieobliczalnym ruchem. Potem o tym dopasowaniu zapominamy, ale i wracamy do niego, gdy tylko przemierzamy parkową, obumarłą przestrzeń. Park zatem rozwija pełnię i pustkę. To bycie na krańcach parku jest byciem na krańcach świata i krańcach życia. Rodzi doznanie niewładania społeczną czasoprzestrzenią, bycie poza kulturą, ale i bycie poza wyżynami i nizinami subiektywnych i zindywidualizowanych przeżyć. Wyprowadza naszą wiedzę poza grunt zrozumienia, w bycie poza czasem, poza przestrzenią.

W parku pęka życie. Wszystko, co zaoferowało nam życie, to poczucie, że nie można niczego oczekiwać – i to podpowiada park. Ale zadziwiające jest i to, że nie jesteśmy w stanie tej wiedzy przezwyciężyć, że musimy wracać do parku, powtarzać ją w doświadczeniu, by nie była martwa. Utrzymujemy się w bliskości umarłego parku jak w bliskości siły, która mąci źródła naszej wiedzy, ale i atakuje korzenie życia.

Artykułowi towarzyszą ilustracje (nr 28-31).

Things which died. Why do we go to the dead parks in Silesia?

Keywords: park, cemetery, Silesia, wildness, landscape

S u m m a r y

The author deals with the problem of a “dead” park. The fallen landscape construction is like a necropolis. The reflections are organized around Fazaniec – a border park established in Upper Silesia in the mid-19th century by count Hans Ulrich von Schaffgotsch. The death of the park after 1945 is interpreted in connection with wildness, darkness, decline, transgression as well as being beyond culture and social emotions.